

 **Kraków**



Młody Kraków

MAGAZYN
MŁODYCH

Czytajże!

nr 6 • październik 2019 • www.mlodziez.krakow.pl • ISSN 2657-585X • nakład 3000 egz.

Humanista czy ściśłowiec?

Przegrana
„Gra o tron”

Rusza GILDIA
SAMORZĄDÓW
UCZNIOWSKICH



Cześć,

Pewnie wielu z Was wrzesień upłynął pod znakiem wytężonej pracy po długiej wakacyjnej przerwie. Zanim spostrzeżliśmy, już nadszedł październik. A wraz z nim pojawia się kolejny numer czasopisma „Młody Kraków. Czytajże!”.

W tym miesiącu tematem przewodnim są sprawy bliskie uczniom krakowskich szkół. Koniecznie przeczytajcie wywiad z Julią Zduńczyk – przewodniczącą I LO – o samorządzie szkolnym. Ponadto mamy dla Was zaproszenie do współtworzenia nowego projektu – Gildii Samorządów Uczniowskich. Być może to właśnie miejsce dla Ciebie. Z kolei zainteresowanym studiami medycznymi polecamy wywiad z młodym lekarzem, który akademię medyczną skończył zaledwie kilka lat temu. Z pewnością warto także przeczytać artykuł, który mierzy się z tematem dobrej edukacji, która pozwala pobudzać różnorodne obszary naszego mózgu.

Jeśli jednak wciąż macie pewne wątpliwości odnośnie ludzkiego umysłu, zerknijcie na tekst, który być może odmieni Waszą dotychczasową opinię na temat humanistów i ścisłowców. Dla melomanów również mamy ciekawą propozycję: „Jazz po krakowsku” powinien zaspokoić ich ciekawość.

Na koniec szczegółowa recenzja zakończonego niedawno serialu „Gra o tron”. Oraz inne materiały.

No to jak? Czytajże!

Błażej Renc

Młody Kraków
MAGAZYN MŁODYCH
Czytajże!

Projekt „Młody Kraków – Młode Media”
otrzymał nagrodę Europejskiej
Sieci Miast Przyjaznych Dzieciom
w Stuttgarcie w roku 2011.



Wydawca:

Urząd Miasta Krakowa
Wydział Polityki Społecznej i Zdrowia
ul. Dekerta 24, 30-703 Kraków

Adres redakcji:

Referat ds. młodzieży, pok. 16
ul. Dekerta 24, 30 - 703 Kraków

Kontakt z redakcją:

tel. 12 616-78-19
e-mail: mlodziez@um.krakow.pl

Redaguje zespół:

Tomasz Talaczyński (redaktor naczelny),
Bartek Hałatek, Maja Jakubowska,
Lidia Kędra, Weronika Koczoł,
Kinga Kowal, Oliwia Kurlęto,
Jakub Leśkiewicz, Wiktoria Tyko,
Jakub Pilarski, Błażej Renc,
Jan Skowronek, Martyna Smoter,
Mateusz Talaczyński, Jerzy Walaszek

Współpraca:

Zuzanna Bober, Łucja Woźniak,
Jan Woźniak

**Opracowanie graficzne,
pomoc redakcyjna i korekta:**

Pracownia Register
ul. Halczyna 7, 30-086 Kraków
tel. 12 265 85 50
e-mail: info@pracowniaregister.pl
www.pracowniaregister.pl

Redakcja nie zwraca materiałów
niezamówionych, zastrzega sobie prawo
ich skracania, zmiany tytułów oraz
redakcyjnego opracowywania tekstów
przyjętych do druku.

Fotografie zamieszczone w magazynie
są ogólną ilustracją tekstów, nie zawsze
przedstawiają bohaterów artykułów.

Młody Kraków

- 3 Dlaczego Samorząd? Aby w szkole nie wiało nudą!**
- 5 Urząd Miasta Krakowa zaprasza Samorządy Uczniowskie do udziału w GILDII SAMORZĄDÓW UCZNIOWSKICH**
- 7 Medycyna?**
- 10 Humanista czy ścisły?**
- 12 Mózg nie zna ograniczeń**
- 14 Jazz po krakowsku**
- 16 Przegrana „gra o tron”**
- 18 Znaj proporcjum mocium panie, czyli, wyborczy poradnik konsumenta**



Dlaczego Samorząd?

Aby w szkole nie wiało nudą!

Jak to się stało, że zostałeś prezydentem I LO w Krakowie?

→ Już od pierwszej klasy bardzo interesowałam się działalnością Samorządu, brałam udział w wielu różnych szkolnych projektach oraz sama je organizowałam. Decyzja o kandydowaniu w kolejnym roku na przewodniczącą SU była dla mnie naturalnym wyborem.

Same wybory w Nowodworku to duże wydarzenie. Kampania trwa dwa tygodnie, a wieńczy ją debata prezydencka. Wiąże się to ze stresem i pracą trwającą nieraz do późnej nocy. Ale z perspektywy czasu zdecydowanie mogę powiedzieć, że nie żałuję decyzji o kandydowaniu. Prezydentura pozwoliła mi zdobyć dużo doświadczenia, ale przede wszystkim daje mi niesamowitą satysfakcję.

Jak wiele czasu poświęcasz na obowiązki wynikające z pełnionej przez Ciebie funkcji?

→ Nie da się zaprzeczyć, że pochłania to bardzo dużo czasu. Myślę, że tygodniowo jest to co najmniej kilkanaście godzin, a często nawet więcej. Przez większą część czasu pracy w SU koordynuję wiele projektów równocześnie. Jako prezydent muszę wiedzieć o wszystkim, co dzieje się w szkole, i być cały czas pod telefonem. Przy tej pracy trzeba nauczyć się sprytnego i odpowiedzialnego zarządzania czasem, bo człowiek zaczyna zdawać sobie sprawę, jak bardzo jest on cenny.

Czy przez dodatkową pracę, jaką wykonujesz, gorzej radzisz sobie z nauką?

→ Poprzedni prezydenci mówili mi, że oceny zazwyczaj spadają i już przed wyborami byłam na to gotowa. Nie jest jednak źle – w pierwszym semestrze średnia ocen spadła mi o ok. pół stopnia, ale w drugim się podniosła, więc jakoś udaje mi się łączyć pracę z nauką. Myślę, że można powiedzieć, że cechą charakterystyczną prezydentów szkół jest niewyspanie.



Rozmowa z **Julią Zduńczyk** – przewodniczącą Prezydium Samorządu Uczniowskiego I Liceum Ogólnokształcącego w Krakowie.

Czym (w głównej mierze) zajmuje się kierowany przez Ciebie Samorząd?

→ Przede wszystkim zajmujemy się współorganizowaniem życia szkoły. Jesteśmy odpowiedzialni za takie akcje jak grill z okazji Dnia Dziecka, obchody stulecia praw wyborczych kobiet, dni otwarte, wykłady w auli szkoły, międzyszkolne turnieje sportowe. Koordynujemy pracę szkolnego radia i gazetki, a także staramy się ułatwiać uczniom życie, chociażby przez wprowadzenie do biblioteki szkolnej kalkulatorów do wypożyczania. Mamy prężnie działającą sekcję charytatywną, angażującą wielu ludzi ze szkoły w pomoc potrzebującym.

Zdarza się także, że dyrektor prosi nas o opinię, np. w kwestii rozkładu szkolnych przerw czy sposobu przeprowadzania próbnych matur.

Jednym słowem, staramy się, żeby życie w szkole nie było tylko nauką, ale żeby było ciekawe i by czas na lekcjach i przerwach nie był monotony.





→ Jak wygląda współpraca Samorządów krakowskich szkół średnich?

→ Jako Samorzady współpracujemy najczęściej przy organizacji różnych międzyszkolnych eventów. Na przykład SU I LO współpracuje z Samorządem V LO przy organizacji Turnieju Noworocznego, czyli corocznej imprezy sportowej, w czasie której reprezentacje obu liceów mierzą się w siatkówce i koszykówce. Długą tradycją jest także „Święta Wojna”, czyli mecz piłki nożnej między Nowodworkiem a II LO, choć niestety w tym roku ze względów niezależnych od nas nie mogliśmy go rozegrać.

Nie zajmujemy się jednak tylko wydarzeniami sportowymi. Za kadencji poprzedniego SU odbył się międzyszkolny przegląd teatralny im. Gustawa Holoubka, który jeśli się tylko uda, zamierzamy kontynuować w tym roku.

Jaki jest największy sukces Twojego Samorządu?

→ W mojej opinii największym sukcesem jest to, że Samorząd sprawnie działał przez cały rok. Nie było jednego, wielkiego projektu, który przyćmiłby wszystkie inne. Myślę, że wszystkie urozmaicały życie szkoły, nawet te drobne, jak choćby opieka

i prowadzenie stworzonej przez poprzedni SU Strefy Komfortu, czyli miejsca do wypoczynku. Jestem też przekonana, że niektóre podjęte przez nas inicjatywy zostaną w szkole na dłużej, np. wspomniane wcześniej kalkulatory w bibliotece. Mieliśmy wiele dni tematycznych i spotkań, choćby Dzień Dobrego Słowa czy Dzień Lata. Dzięki nim w szkole nie wieje nudą.

Dlaczego warto być w Samorządzie?

→ Praca w Samorządzie daje wiele korzyści. Przede wszystkim pozwala stać się częścią społeczności i wejść głębiej w życie szkoły, szczególnie jeśli dołącza się do SU wcześniej, już w pierwszej klasie. To także szansa na poznanie wielu wspaniałych ludzi, zrobienie czegoś dla innych i mnóstwo okazji do samorozwoju. To zajęcie uczy odpowiedzialności, umiejętności współpracy, pewności siebie. Dla mnie decyzja o kandydowaniu na prezydenta była jedną z najważniejszych decyzji w życiu i ta kadencja w Samorządzie dała mi bardzo dużo doświadczenia, satysfakcji i umiejętności. Dlatego też zachęcam: angażujcie się w Samorzady w Waszych szkołach, na pewno nie będziecie tego żałować.

Rozmawiał Jakub Leśkiewicz



Urząd Miasta Krakowa zaprasza Samorządy Uczniowskie do udziału w **GILDII SAMORZĄDÓW UCZNIOWSKICH**



Co to jest Gildia Samorządów Uczniowskich?

Gildia to zrzeszenie Samorządów założone dla wzmocnienia współpracy między nimi.

Gildia jest projektem realizowanym w ramach programu aktywnego uczestnictwa młodzieży w życiu miasta „Młody Kraków 2.0”.

Jej celem jest:

- wspieranie aktywności Samorządów Uczniowskich w krakowskich szkołach,
- stwarzanie warunków do wymiany wiedzy i doświadczeń pomiędzy Samorządami Uczniowskimi,
- podnoszenie umiejętności organizacyjnych Samorządów Uczniowskich,
- organizowanie przedsięwzięć / akcji / wydarzeń o charakterze międzyszkolnym, np. dzielnicowych, lokalnych, tematycznych.

Więcej na www.mlodziak.krakow.pl lub 12 616 78 19.

Regulamin Gildii Samorządów Uczniowskich krakowskich szkół ponadpodstawowych

ORGANIZACJA I CELE GILDII SAMORZĄDÓW UCZNIOWSKICH

1. Gildia Samorządów Uczniowskich krakowskich szkół ponadpodstawowych, zwana dalej „Gildią”, jest projektem realizowanym przez Urząd Miasta Krakowa w ramach programu aktywnego uczestnictwa młodzieży w życiu miasta „Młody Kraków 2.0”.

2. Organizatorem Gildii jest Wydział Polityki Społecznej i Zdrowia UMK.

3. Celem Gildii jest:

- a) wspieranie aktywności Samorządów Uczniowskich w krakowskich szkołach,
- b) stwarzanie warunków do wymiany wiedzy i doświadczeń pomiędzy Samorządami Uczniowskimi,
- c) podnoszenie umiejętności organizacyjnych Samorządów Uczniowskich,
- d) organizowanie przedsięwzięć / akcji / wydarzeń o charakterze międzyszkolnym, np. dzielnicowych, lokalnych, tematycznych.

ZASADY PRZYSTĄPIENIA DO GILDII

4. Gildia zrzesza Samorządy Uczniowskie krakowskich szkół ponadpodstawowych.

5. Przystąpienie do Gildii dokonuje się poprzez zgłoszenie uczestnictwa w jej pracach przez Zarząd Samorządu Uczniowskiego szkoły za pomocą formularza zgłoszeniowego na stronie www.mlodziak.krakow.pl.

6. Przystąpienie Samorządu Uczniowskiego do Gildii odbywa się po wcześniejszym uzyskaniu akceptacji Dyrektora szkoły.

7. Uczestnictwo Samorządu w Gildii trwa od dnia potwierdzenia przyjęcia zgłoszenia przez Organizatorów do dnia zakończenia kadencji Zarządu Samorządu Uczniowskiego.

8. Po przystąpieniu do Gildii, Samorząd otrzymuje konto na stronie internetowej Organizatora przeznaczone do publikowania informacji o wydarzeniach / akcjach / projektach zorganizowanych przez Samorząd Uczniowski.

ZASADY PRACY GILDII

9. Samorządy należące do Gildii Samorządów Uczniowskich współpracują między sobą poprzez uczestnictwo we FRAKCJACH SAMORZĄDOWYCH.

10. FRAKCJE SAMORZĄDOWE są dobrowolnymi zespołami współpracy Samorządów Uczniowskich.

11. Powołanie FRAKCJI SAMORZĄDOWEJ następuje po zgłoszeniu jej zawiązania Organizatorowi przez co najmniej dwa Samorządy Uczniowskie na adres: mlodziak@um.krakow.pl.

12. Przystąpienie nowego Samorządu do FRAKCJI dokonuje się poprzez zgłoszenie Organizatorowi chęci uczestnictwa w niej i wyrażeniu zgody





dotychczasowych jej uczestników na adres: młodzież@um.krakow.pl.

13. FRAKCJE SAMORZĄDOWE samodzielnie określają obowiązujące zasady współpracy, jej charakter tematyczny, środowiskowy lub lokalny. Są uprawnione do tworzenia herbów, własnego nazewnictwa oraz innych elementów tożsamościowych.

14. FRAKCJE SAMORZĄDOWE uprawnione są do organizowania wydarzeń, akcji, tworzenia inicjatyw, których celem jest współpraca pomiędzy Samorządami Uczniowskimi i środowiskami szkolnymi.

15. W celu wsparcia współpracy Samorządów, Organizator zaprasza przedstawicieli Samorządów na spotkanie robocze nie rzadziej, niż raz na trzy miesiące w czasie trwania roku szkolnego.

WARUNKI UCZESTNICTWA W GILDII

16. Samorząd uczestniczący w Gildii Samorządów Uczniowskich zobowiązany jest do:

- a) opublikowania na stronie internetowej Organizatora Gildii www.młodzież.krakow.pl protokołu z ostatnich wyborów do Samorządu Uczniowskiego, który potwierdza demokratyczny, zgodny z ordynacją wyborczą, wybór Zarządu Samorządu Uczniowskiego,
- b) publikowania informacji o wydarzeniach/akcjach oraz pozostałej działalności Samorządu na stronie internetowej Gildii www.młodzież.krakow.pl,
- c) uczestniczenia w działaniach Gildii.

UPRAWNIENIA SAMORZĄDÓW UCZESTNICZĄCYCH W GILDII

17. Z chwilą przystąpienia do Gildii Samorząd Uczniowski uzyskuje prawo do:

- a) organizowania międzyszkolnych wydarzeń samorządowych pod patronatem Gildii,
- b) inicjowania działań na rzecz rozwoju samorządności w krakowskich szkołach,
- c) publikowania materiałów na blogu Samorządu na stronie Organizatora Gildii,
- d) ubiegania się o wsparcie finansowe Programu Wsparcia Inicjatyw Samorządowych,
- e) zgłaszania kandydatów do nagrody MŁODZIEŻOWY LIDER KRAKOWA,

f) zgłaszania kandydatów do KRAKOWSKIEJ NAGRODY DLA OSÓB PRACUJĄCYCH Z MŁODZIEŻĄ,

g) zrzeszania się we FRAKCJACH dla wzmocnienia współpracy pomiędzy poszczególnymi Samorządami,

h) wnioskowanie do UMK o realizację działań na rzecz samorządności,

i) nominowanie wydarzeń do tytułu SAMORZĄDOWA AKCJA ROKU,

j) głosowanie na SAMORZĄDOWĄ AKCJĘ ROKU.

RADA PATRONÓW

18. RADA PATRONÓW jest organem wspierającym działalność Gildii.

19. Członków RADY PATRONÓW powołuje Organizator Gildii.

20. Pracami RADY PATRONÓW Gildii kieruje koordynator powołany przez Organizatora.

21. W skład RADY PATRONÓW wchodzi przedstawiciele Urzędu Miasta Krakowa, organizacji pozarządowych, przedstawiciel Młodzieżowej Rady Krakowa.

22. RADA PATRONÓW wspiera Gildię, w szczególności służy radą jej uczestnikom.

23. RADA PATRONÓW rozpatruje wnioski i przyznaje dofinansowanie projektom w ramach PROGRAMU WSPARCIA INICJATYW SAMORZĄDOWYCH.

PROGRAM WSPARCIA INICJATYW SAMORZĄDOWYCH

a) Środki finansowe PWIS zapewnia Urząd Miasta Krakowa poprzez realizację otwartego konkursu ofert na regranting.

b) Celem programu jest wsparcie działalności Samorządów Uczniowskich krakowskich szkół.

c) Z PWIS korzystać mogą Samorzady należące do Gildii.

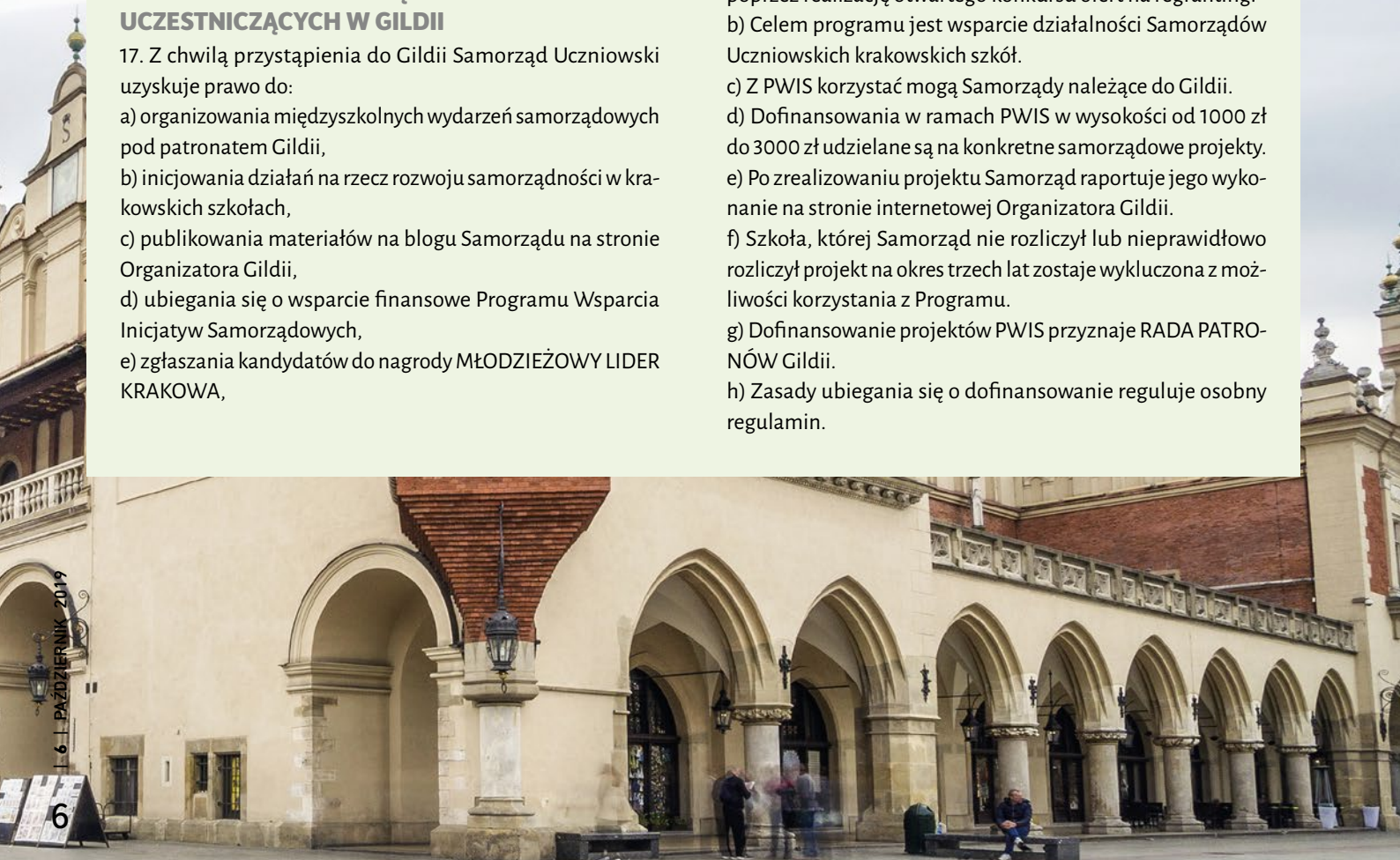
d) Dofinansowania w ramach PWIS w wysokości od 1000 zł do 3000 zł udzielane są na konkretne samorządowe projekty.

e) Po zrealizowaniu projektu Samorząd raportuje jego wykonanie na stronie internetowej Organizatora Gildii.

f) Szkoła, której Samorząd nie rozliczył lub nieprawidłowo rozliczył projekt na okres trzech lat zostaje wykluczona z możliwości korzystania z Programu.

g) Dofinansowanie projektów PWIS przyznaje RADA PATRONÓW Gildii.

h) Zasady ubiegania się o dofinansowanie reguluje osobny regulamin.





Medycyna?

Nie przejmujcie się ogromem nauki na początku studiów!

Studia medyczne są jak najbardziej do przeżycia. Medycyna nie jest najcięższym kierunkiem, jaki wymyślono.

Jak duże, Pana zdaniem, jest zapotrzebowanie na lekarzy w Krakowie?

→ Zarówno w Krakowie jak i w całej Polsce istnieje ogromne zapotrzebowanie na lekarzy, które z pewnością utrzyma się jeszcze przez lata. Statystyki ogólnoeuropejskie mówią, że jako kraj mamy jeden z najniższych współczynników liczby lekarzy przypadających na stu obywateli. Powoduje to m.in., że przez następne kilka lat nie trzeba obawiać się o brak pracy w branży lekarskiej.

Przypuśćmy, że jako licealista marzę, aby zostać lekarzem. Co mogę zrobić już teraz, aby przybliżyć się do spełnienia tego marzenia?

→ Przede wszystkim możesz zacząć się bardziej interesować specjalizacjami, które Cię ciekawią. Na pewno pomoże Ci czytanie artykułów poświęconych danej branży i zdobywanie wiedzy na temat różnych nowinek technologicznych z nią związanych. Jeśli masz dostęp do dobrego lekarza, warto pójść do przychodni czy szpitala i zapytać go o to, jak wygląda jego praca. Zwykle terapeuci są chętni do rozmowy i udzielią odpowiedzi na nurtujące nas pytania, o ile nie są bardzo zajęci. Wiele można wyciągnąć z takiej półgodzinnej rozmowy i na pewno ułatwi nam ona późniejsze wybory życiowe. Rozważając konkretną uczelnię medyczną warto zobaczyć, jakie rozszerzenia z szkoły średniej bierze ona pod uwagę, bo często nie są one takie same. Ja np., żeby dostać się na UJ, musiałem zdawać chemię, biologię oraz fizykę. Z tego co słyszałem, teraz możliwa jest jeszcze matematyka.



Rozmowa z **Markiem Łabno, lekarzem rezydentem**, robiącym specjalizację z medycyny rodzinnej.

Czego, Pana zdaniem, należy spodziewać się po studiach medycznych?

→ Należy oczekiwać ciężkiej pracy, ale też wspaniałych możliwości, nie tylko związanych z przyszłą pracą. Studia oferują nam przecież udział w licznych programach, kołach naukowych czy wyjazdach zagranicznych, np. z programu Erasmus. Warto z nich korzystać, aby poznać wielu ludzi ze świata medycyny oraz zobaczyć ciekawe miejsca. UJ organizuje np. praktyki wakacyjne, w ramach których pojechałem do Rosji i na Białoruś. Ze względu na ogromne możliwości rozwoju podczas studiów, warto czasem po prostu odejść od książek i angażować się w życie uczelni i poza nią. Wybierając zawód lekarza i tak będziemy musieli uczyć się całe życie, by być „na czasie” z lekami czy nowymi sposobami leczenia.





→ **Słyszałem, że studiowanie medycyny to wiele pracy i wyrzeczeń ze strony studentów. Czy to prawda?**

→ Tak, ale wbrew pozorom nie jest tak tragicznie, jak wszyscy mówią. Jeśli chcecie zostać architektami, informatykami czy politykami, wasz wysiłek będzie podobny jak na medycynie. Musimy w daną profesję wejść całym sercem i zaangażowaniem. Po prostu każdy zawód, jeżeli chcemy go wykonywać dobrze, wymaga poświęceń i zawód lekarza nie jest w tym jakoś szczególny. Moim zdaniem, mówienie o medycynie jako o wyjątkowo trudnym kierunku jest stereotypem.

Jak duży jest odsiew wśród studentów w toku trwania studiów?

→ Nie jestem w stanie powiedzieć, ilu dokładnie nas odpadło, ale myślę, że najwięcej na pierwszym roku. Ogólnie jest to najtrudniejszy okres podczas całych studiów, ponieważ mamy na nim najtrudniejsze przedmioty, z anatomią na czele. Mimo wszystko z moich obserwacji wynika, że odsiew nie jest jakąś masakrą. Odchodzi około 10-15% studentów, a w późniejszych latach niewiele jest przypadków zmiany kierunku.

Miał Pan zajęcia w prosektorium? Jak Pan je ocenia? Czy zdarzyło się, że ktoś nie wytrzymał ich psychicznie?

→ Miałem zajęcia w prosektorium w ramach anatomii na pierwszym roku studiów. Były to bardzo ciekawe zajęcia ze względu na swoją praktyczność. Mogliśmy zobaczyć poszczególne narządy i ogólnie wszystko, o czym się wcześniej uczyliśmy. Faktycznie, niektórzy studenci mieli bariery psychiczne podczas pierwszych zajęć, gdyż mimo wszystko był to kontakt z nieżywym człowiekiem. Co ciekawe, częściej jakieś opory występowały u kolegów niż u koleżanek. Dla mnie nie było to jakieś wielkie przeżycie. Traumatyczna była raczej ilość materiału, jaki trzeba było przyswoić. Uważam jednak, że ludzie młodzi są bardziej odporni na tego typu widoki niż pokolenie naszych dziadków ze względu na obecne często w popkulturze krew, zwłoki i strzelaniny.

Czy studia medyczne gwarantują pracę w zawodzie?

→ Zdecydowanie, jest to jeden z nielicznych kierunków, który gwarantuje zdobycie pracy w wyuczonym zawodzie. Szansa taka jest niemal stuprocentowa, czego nie można powiedzieć o innych elitarnych studiach. Smutna prawda jest taka, że ludzie zawsze będą chorować, dlatego każda specjalizacja będzie mogła się rozwijać.

Jakie są najczęściej wybierane specjalizacje?

→ Każdego roku popularnością cieszą się inne. Wpływ na to ma ustalana przez państwo lista specjalności deficytowych, czyli tych, w których brakuje lekarzy. Znajdujące się na niej branże otrzymują często dodatkowe rządowe dofinansowania. Rok temu promowana była onkologia, a jeszcze wcześniej ortopedia. Specjalizacje wybierane przez młodych lekarzy dzielą się na dwie grupy: zabiegowe i zachowawcze. Do tych pierwszych możemy zaliczyć np. ortopedię i różne chirurgie. Zwykle wiążą się z wyższymi zarobkami, ale i ze zwiększonym ryzykiem popełnienia jakiegoś błędu. Specjalizacje zachowawcze obejmują działania bezoperacyjne, dlatego jest to np. psychiatria czy medycyna rodzinna.

Jakie mogą być konsekwencje błędu lekarskiego lub pogorszenia się stanu pacjenta z powodu nieudanej operacji?

→ Nasz zawód jest specyficzny, gdyż odpowiadamy za nasze działania na wielu płaszczyznach, m.in. prawnej i zawodowej. Choć największa wydaje mi się odpowiedzialność etyczna, bo wspomnienie o człowieku, któremu zaszkodziłmy, na długo zostaje w pamięci jako wyrzut sumienia. Pod kątem ewentualnych prawnych kłopotów nasz zawód jest dość ciężki, ponieważ pacjenci są bardzo roszczeniowi. Pozwy sądowe zdarzają się, nawet jeśli zrobiliśmy wszystko dobrze. Trend ten przychodzi z Ameryki, gdzie pacjenci często pozywają swoich lekarzy, aby wyłudzić od nich pieniądze. Jednak jeśli wykonujesz swoją pracę sumiennie, to proces będzie tylko formalnością i nie powinny Cię spotkać żadne konsekwencje.

Ostatnio wiele się mówiło o zbyt małych zarobkach lekarzy rezydentów. Czy to prawda, że zarobki początkujących lekarzy nie są wysokie?

→ Zdecydowanie, jest to prawda. Jako początkujący lekarze musimy wykonywać wiele zadań, które nie należą do naszych obowiązków. To jest problem, o którym się nie mówi, czyli wykorzystywanie pracy ludzi znajdujących się najniżej w hierarchii. Osoby, które mają nad nami czuwać, często dokładają nam pracy. Często są sytuacje, gdzie wypełniamy papierkową robotę za naszego opiekuna, który w międzyczasie operuje lub ma ważne wyjście. Nie możemy też wybierać sobie dyżurów, bo są nam przydzielone z góry. Mając to na uwadze, i dodając 8 lat nauki na tym etapie, wynagrodzenie 4000 zł na rękę nie jest duże. Weźmy pod uwagę, że programista zaczynający pracę w branży IT znający jeden język programowania otrzymuje to samo wynagrodzenie przy często mniejszym nakładzie pracy.





Na jakie mniej więcej wynagrodzenie może liczyć początkujący lekarz?

→ Trzy lata temu jako lekarz stażysta zarabiałem 2000 zł netto. Moje uprawnienia były wtedy ograniczone i nie miałem pełnego prawa wykonywania zawodu. Już jako lekarz rezydent, który jest w trakcie robienia specjalizacji, w zależności od tego jak bardzo jest deficytowa, zarabiamy między 3500 a 4000 zł na rękę. Stawka taka zwykle utrzymuje się przez około pięć lat. Kolejna podwyżka przychodzi po skończeniu specjalizacji. Teoretycznie istnieją dodatkowe możliwości zarobku, takie jak praca w pogotowiu ratunkowym. Wiążą się one jednak z zarywaniem nocek, redukcją życia rodzinnego i dużą porcją stresu.

Czym się różni praca w placówce państwowej od prywatnej?

→ Przede wszystkim różnice są w stawkach. W klinikach prywatnych są one znacznie wyższe, jednak by móc pracować w takowej trzeba już mieć pewne doświadczenie. Dla lekarzy rezydentów jedyną opcją w takiej placówce jest prowadzenie konsultacji specjalistycznych, z których można dużo zarobić. Problem leży jednak w tym, że tego typu zadania rezydent może robić dopiero po swojej etatowej pracy. W pewnym sensie musi być zatrudniony na „państwówce”, żeby się rozwijać i mieć dostęp do specjalistycznego sprzętu. Niestety największym minusem prywatnej opieki medycznej jest to, że zamykamy się tylko na daną specjalizację, co paradoksalnie ogranicza nasze możliwości. Nie chodzi o typ świadczenia usług (prywatne vs. państwowe), ale o to, że specjalista wchodzi w bardzo wąską działkę i potem np. chirurg nie potrafi czasem leczyć zapalenia płuc. Ale taki mamy świat – bardzo wyspecjalizowany i podzielony na wąskie działki.

Jakie wymogi formalne trzeba spełnić, aby uzyskać możliwość założenia własnego gabinetu?

→ Już jako rezydenci możemy prowadzić jednoosobową działalność gospodarczą. Zakładamy wtedy własną firmę i uzyskujemy dochody z dwóch źródeł: z rezydentury i z pracy prywatnej. Nasz zawód jest pod tym względem uprzywilejowany, stąd nie ma wielu wymogów formalnych i na pewno jest to prostsze niż w przypadku innych branż. Samo założenie firmy może zająć nam jeden dzień bądź trochę dłużej, ale nie jest to długotrwały proces. Początkowo dochody z własnej działalności nie są wysokie, ale mogą stanowić uzupełnienie pracy etatowej.

Czy rzeczywiście lekarze są przeciążeni nadmiarem pracy i doskwiera im brak czasu wolnego?

→ Tak, ale w każdej specjalizacji wygląda to trochę inaczej. Np. zabiegowcy są często obciążeni fizycznie z powodu wykonywania różnych zabiegów, interniści też mają 24-godzinne dyżury, przy czym cały czas muszą być gotowi do działania. Znam przypadki kolegów, którzy potrafili zjeść jakikolwiek posiłek po dwóch dniach. Po prostu byli tak zaaferowani swoją pracą na dyżurze, że nie pomyśleli o tym ani przez chwilę. Z drugiej strony zdarzają się dużo spokojniejsze doby, podczas których można się przespać czy obejrzeć jakiś film. Mimo wszystko ogólnie jest to przeciążona grupa zawodowa i musisz mieć dużo samozaparcia, aby wydzielić sobie czas na inne sfery życia.

Połączenie życia rodzinnego z pracą zawodową jest trudne? Czy da się wypracować złoty środek?

→ Kluczem do znalezienia złotego środka jest dobra organizacja i nasze chęci. Pracy w zawodzie lekarza jest dużo, ale da się rozsądnie zaplanować czas na wszystko. Jako ludzie nie powinniśmy żyć wyłącznie dla pracy, ważne są też nasze relacje z innymi. Ja osobiście cieszę się, że udało mi się wydzielić czas dla rodziny i spędzać z nią wolne chwile.

Czy mógłby Pan coś doradzić młodym ludziom myślącym w przyszłości o pracy lekarza?

→ Przede wszystkim nie załamujcie się ogromem nauki na początku studiów. Medycyna jest jak najbardziej do przeżycia i nie jest najcięższym kierunkiem, jaki wymyślono. Nie zrażajcie się również, słysząc od ludzi starszych pesymistyczne hasła typu „najlepsze czasy macie już za sobą”. To wy tworzycie swoją przyszłość i nigdy nie ma jednego schematu czy przepisu na życie. Ja jestem żonaty, mam dwójkę dzieci, pracuję jako lekarz i mogę z całą pewnością powiedzieć, że jestem na najlepszym etapie swojego życia. Warto planować swoją przyszłość, a jak nie mamy na nią pomysłów – to szukać ich do skutku. Zanim zdecydowałem się na zostanie lekarzem rodzinnym sprawdziłem wiele dróg, m.in. pracowałem w hotelu, byłem instruktorem sztuk walki. Stąd moja rada: nie kierujcie się tylko sferą finansową, ale odnajdźcie coś, co lubicie i co chcielibyście rozwijać.

Rozmawiał Bartek Hałatek

Marek Łabno – lekarz rezydent. W zawodzie pracuje od trzech lat, od niedawna w przychodni publicznej. Pasjonat gór, instruktor sztuk walki. Absolwent Krakowskiej Akademii Samorządności.





Humanista czy ścisty?

Nie musimy wybierać. Przy właściwym wkładzie pracy możemy równolegle rozwijać umiejętności z różnych dziedzin.



– Mam dwa zawody: estrada i medycyna. Obydwie profesje są bardzo przyjemne i ciężko jest zrezygnować z jednej lub drugiej. Chociaż uważam się za człowieka estrady, więcej czasu zajmuje mi działalność lekarska. Dyżury, wizyty u pacjentów, to jest dzień powszedni, muzykowanie jest od święta – opowiadał w jednym z wywiadów Jakub Sienkiewicz, neurolog oraz lider zespołu muzycznego Elektryczne Gitary. Choć jest artystą, ma na koncie prace naukowe takie jak „Fenomenologia zaburzeń ruchowych” czy „Psychogenne i polekowe zaburzenia ruchowe”.

Neurochirurg i artysta

Kuba Sienkiewicz od 1990 roku występuje w Elektrycznych Gitarach. Prawdziwą sławę zyskał komponując muzykę do filmów takich jak „Kiler”, „Pokój 107” czy „Kariera Nikosia Dyzmy”. Kilkakrotnie zagrał epizodyczne role w filmach „Chłopaki nie płaczą” i „Poranek Kojota”. Współpracuje z polską sceną kabaretowo-muzyczną „Śmietanka Łowiecka” oraz Sceną Kabaretową Marka Majewskiego. 6 lat temu otrzymał Brązowy Medal „Zasłużony Kulturze Gloria Artis” przyznawany przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Granica jest cienka

„Potrafię szybko i sprawnie liczyć, natomiast pisanie zupełnie mi nie wychodzi. Jestem ścistowcem” – zapewne niejedną z nas tak myśli o sobie. – Istnieje przekonanie, że humanista i ścistowiec są określeniami naszych cech wrodzonych, które warunkują naszą sprawność w wykonywaniu rachunków bądź pisaniu i rysowaniu. To myślenie błędne – przekonuje dr Tomasz Rożek, polski dziennikarz naukowy i fizyk, w telewizyjnym programie Sonda 2. Mózg każdego z nas ma niezwykłą

zdolność do ogarnięcia zarówno sfery matematycznej, jak i tej związanej z humanistyką. Oczywiście każdy z nas ma swój ulubiony przedmiot, jednak najczęściej wynika to z ciekawego sposobu prowadzenia zajęć albo pasji wyniesionej z domu.

Granica pomiędzy naukami ścisłymi a humanistycznymi jest bardzo cienka. – Nie można być humanistą, jeżeli nie potrafi się liczyć. Żeby zrozumieć pewne kwestie związane z humanistyką, musimy też dokonywać uogólnień, abstrahować, posługiwać się pewnymi pojęciami. To są umiejętności podstawowe w zakresie matematyki czy przedmiotów ścisłych – twierdzi dr Tomasz Witkowski, psycholog i pisarz.

Specjalizacja z zaniedbania

Gdzie można spotkać powiązanie nauk ścisłych z innymi dziedzinami wiedzy? Dobrym przykładem jest kojarząca się z historią, czyli humanistyką, praca archeologa, który w ramach obowiązków musi wykonywać badania geofizyczne. Praca z georadarem, wykonywanie pomiarów czy wyznaczanie miejsc wykopalisk to umiejętność, której nie da się opanować bez znajomości matematyki.

Skąd zatem bierze się nasze potoczne przekonanie o tym, że przynależymy do grupy humanistów lub umysłów ścisłych? Myśl taka pojawia się zazwyczaj, gdy zaczynają się problemy z przyswajaniem któregoś obszaru wiedzy. Jeśli coś nam nie idzie, nie podejmujemy większego wysiłku i wmawiamy sobie, że nie jesteśmy matematykami, chemikami, fizykami, anglistami itd. Inna sprawa, że ogrom wiedzy, którą musimy przyswoić w szkole, powoduje specjalizację – wybieramy te, które interesują nas bardziej. Wraz ze zgłębianiem wiedzy

6
3
2
9
6
1
8
3
5
6
3
9
1
2
10
2

PAŹDZIERNIK 2019



w konkretnej dziedzinie, poruszamy się w niej coraz biegłej, używamy charakterystycznego języka fachowego i w efekcie jesteśmy postrzegani jako chemik, biolog, fizyk itd. Co ciekawe, podział, który jest tak powszechnie przez nas stosowany, wcześniej praktycznie nie istniał.

Dał przykład Leonardo

Najbardziej chyba spektakularnym przykładem wszechstronności, połączenia wybitnych zdolności matematycznych i humanistycznych, jest Leonardo da Vinci. Wszystko zaczęło się u niego od ciekawości oraz głodu wiedzy. Ten włoski artysta obserwował lot ptaków, co zaowocowało dokładnymi notatkami, które posłużyły do stworzenia projektów maszyn latających. Pracował także nad opisem zasad lotu ślizgowego. Leonardo da Vinci zajmował się również robotyką. W XV wieku zaprojektował urządzenia zwane „automatonami”. Były to projekty pierwszych „robotów”, które byłyby w stanie poruszać się samoistnie. Jednym z nich był mechaniczny rycerz. Prawdopodobnie nie udało mu się go skonstruować ze względu na brak materiałów. Niemniej opis mechanizmu, który miał być umieszczony w zbroi wskazywał, że zaprojektowany rycerz umiałby naśladować ludzkie ruchy, m.in. siadanie czy poruszanie ramionami i szyją. Projekt mechanicznego rycerza został odnaleziony przez Włocha Carla Pedrettiego ponad 20 lat temu, a w 2002 roku podjęto się jego realizacji na potrzeby filmu dokumentalnego BBC.

Jak wiadomo, Leonardo nie ograniczał się do jednej dziedziny. Większość z nas kojarzy go przede wszystkim jako wybitnego malarza. Obrazy „Dama z gronostajem”, „Mona Lisa”, czy „Ostatnia Wieczerza” możemy oglądać w europejskich muzeach, a pierwszy z nich znajduje się w Muzeum Narodowym w Krakowie.

Matematycy z fantazją

Hugo Steinhaus urodził się pod koniec dziewiętnastego wieku. W 1905 roku zakończył naukę w szkole średniej, a następnie wybrał się na studia na Uniwersytet Lwowski. Tam zajął się matematyką i filozofią. W 1917 roku uzyskał stopień doktora habilitowanego w Lwowskim Towarzystwie Matematycznym. O tym, że matematykom nie brakuje fantazji świadczy pewna anegdota z jego życia.

Hugo Steinhaus spotykał się w kawiarni lwowskiej z innymi matematykami. Wszyscy pochylali się nad problemami oraz zagadkami matematycznymi i próbowali je rozwiązać. Czasami były one czasochłonne i nie od razu udało się dojść do wyniku. Żeby urozmaicić spotkania, matematycy wymyślili, by za rozwiązanie problemu logicznego dawać nagrody. Jeden z polskich matematyków, Stanisław Mazur, za rozwiązanie pewnego zadania zaoferował... żywą gęś. Szwed, Per Enflo, jeden z postawionych problemów rozwiązał dopiero po 36 latach. Słowo jednak się rzekło i szwedzki uczony dostał żywego ptaka za rozwiązanie zagadki.

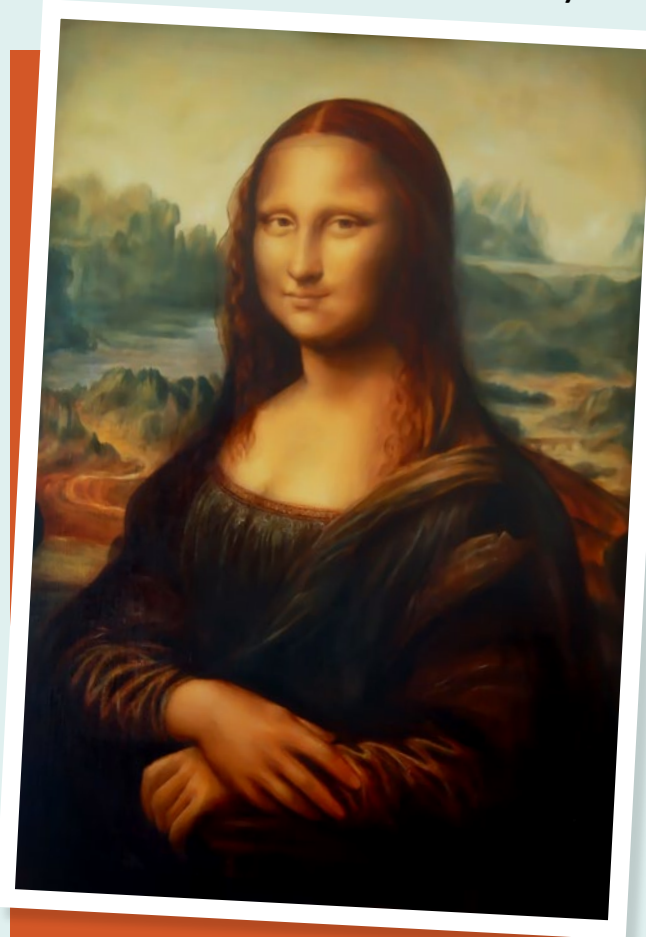
Hugo Steinhaus wykorzystywał matematykę wszędzie, gdzie tylko mógł. Wymyślił siatkę, która umożliwiała pomiar długości linii krzywych wykorzystywanych do czytania map. Miał także duży wkład w medycynę. Wykorzystał rachunek prawdopodobieństwa do określenia ojcostwa (krzyżówki genetyczne). Stosował również matematykę np. do badań konstrukcji mostów wiszących.

Liczby i ortografia

Zainteresowania Steinhaus dotyczyły także języka. Poświęcał wiele czasu polszczyźnie. Był przeciwnikiem reformy ortograficznej, która została wprowadzona kilka lat przed wybuchem II wojny światowej. Nie zgadzał się z nią do takiego stopnia, że swoje teksty pisał wg dawnych reguł. Dbał o poprawność językową. Jeżeli na egzaminie student przedstawił się, poczynając od nazwiska, to oblewał egzamin, a profesor Steinhaus mówił: „pan się tak nie nazywa!”. Steinhaus napisał także „Słownik Racjonalny”, w którym ujął sporo śmiesznych powiedzonek (np. geniusz – gen i już). Podobno słownik tak zafascynował Juliana Tuwima, że ten upadł na kolana przed jego autorem, kiedy przeczytał, że Ziemia to kula u nogi.

Przykładów osób uzdolnionych w wielu dziedzinach jest więcej. Warto wierzyć w siebie i nie wmawiać sobie, że ma się talent tylko do liczenia lub rysowania.

Mateusz Talaczyński





Mózg nie zna ograniczeń

*Na czym polega dobre uczenie się
i czy na pewno właściwie to robimy?*

Słusznie nazywany jest najważniejszym ludzkim organem. Trudno wyobrazić sobie mózg z jego wszystkimi zakamarkami, połączeniami, zwojami. Niektórzy powtarzają, że używamy tylko jednej dziesiątej tego niesamowitego narządu. Ale to nieprawda – udowodniono, że ludzki mózg funkcjonuje na pełnych obrotach. Dobra, ciekawa edukacja może sprawić, że będzie pracował jak w transie, pozwalając człowiekowi wszechstronnie się rozwijać.

100 mld neuronów w akcji

Jak wszyscy pewnie wiemy, nasze mózgi są odpowiedzialne za wszystkie czynności oraz procesy życiowe. Mózg składa się z dwóch połączonych ze sobą półkul, które mają różne funkcje – lewa odpowiada m.in. za logikę, cyfry, mowę i analizę, natomiast prawa za obrazy, kolory, marzenia, muzykę i przestrzeń. Przeciętny mózg posiada około 100 mld neuronów, które przetwarzają informacje i są niezbędne w procesie nauki. Każdy z nich łączy się średnio z 7 tys. innych neuronów, tworząc sieci neuronowe. Uczenie się to właśnie tworzenie nowych połączeń (synaps) między neuronami. Im więcej zmysłów angażujemy w naukę, tym mocniejsze są połączenia, a nauka efektywniejsza.

Im później, tym gorzej?

Znane powiedzenie mówi, że uczymy się całe życie. I to prawda, choć aż do 1998 roku uważano, że u człowieka dorosłego nie powstają nowe połączenia między neuronami. Tymczasem sieć synaptyczna rozbudowuje się cały czas – gdy poznajemy nowych ludzi, napotykamy problemy i zagwozдки albo celowo ćwiczymy umysł. I nie jest ważne, w jakim jesteśmy wieku. Badacze pod przewodnictwem Any Ines Ansaldo w Kanadzie dowiedli, że drugiego języka z taką samą wydajnością mogą uczyć się zarówno dzieci, jak i dorośli. W przeprowadzonym badaniu wzięły udział dwie grupy. Jedna składała się z osób młodych, a druga zawierała osoby powyżej 65 lat. Ich zadaniem było nauczyć się 100 hiszpańskich słówek w 3 tygodnie. Zgadnijcie co... obie grupy miały podobne wyniki!

Ruch + muzyka = geniusz

W Kanadzie przez 5 lat prowadzono badania na ponad 110 tys. uczniów z kilku szkół. Naukowcy poszukiwali jednej cechy, wspólnej dla dzieci, które szybciej się uczą. Udało się ustalić, co łączy uczniów posiadających umiejętności wyprzedzające aż o rok rówieśników, zarówno w przedmiotach humanistycznych, jak i ścisłych. Okazało się, że jest nią gra na instrumencie.



Prawdopodobnie dzieje się tak, ponieważ nauka gry angażuje wiele części mózgu. Czytanie zapisu nutowego kształci umiejętności zarówno językowe, jak i matematyczne: długość i wysokość dźwięków, liczba nut w takcie, pauzy... Po drugie, polepsza koordynację ręka—oko i ręka—ręka. Często angażuje też nogi, chociażby przy grze na pianinie. Dochodzi do tego uważne słuchanie, które w szkole jest niezbędne, samodyscyplina, praca zespołowa, wyobraźnia, pamięć długo- i krótkotrwała... Można by tak wymieniać i wymieniać. Albert Einstein nie wyobrażał sobie życia bez skrzypiec!

Na aktywność mózgu wpływają też ćwiczenia fizyczne, gdyż mózg musi wydawać bardzo dużo poleceń związanych z koordynacją ciała. Pod wpływem ruchu powstają nowe komórki nerwowe. Długie, mało intensywne ćwiczenia, jak np. spokojny trening na basenie, wspomagają przyswajanie nowych rzeczy. Natomiast krótkie i intensywne redukują poziom stresu.

Nie tylko szkoła

Gillian Lynne w szkole była nadpobudliwa i nie mogła wysiedzieć w ławce. Trafiła do psychiatry, który na szczęście postawił dobrą diagnozę i oznajmił, że... dziewczynka jest tancerką. Rodzice umożliwili jej kształcenie się w tym kierunku, dzięki czemu Gillian została znaną baleriną.

System szkolny, jaki mamy dzisiaj, powstał na początku XIX wieku na potrzeby rewolucji przemysłowej. Jego zadaniem było kształcenie przede wszystkim umysłów ścisłych oraz robotników fabryk. Budowa maszyn, mostów, administracja – na to skierowano ówczesne szkolnictwo, które nie dawało miejsca na kreatywność, rozwój pasji. Teraz to się zmienia. Są pieniądze, które pozwalają się doskonalić także poza szkołą. Jednak w szkole często zainteresowania zanikają, ponieważ nauka jest bardziej nastawiona na otrzymywanie ocen. Na szczęście dzieci i młodzież uczą się szybko, ponieważ mają dużo połączeń neuronalnych. Aby to się utrzymało, należy otaczać się nowymi rzeczami i odkrywać swoje pasje.

Istnieją jednak szkoły, które starają się uczyć w sposób niestandardowy, pobudzić mózg, zaciekawiać. Żyjąca w XIX wieku włoska lekarka, Maria Montessori, zapoczątkowała metodę kładącą nacisk na swobodny rozwój dzieci. Szkoły kierujące się metodą Montessori pozwalają dzieciom i młodzieży na swobodną pracę z wybranymi przez nie materiałami. Nauczyciele natomiast dostarczają potrzebnych źródeł, obserwują postępy ucznia i służą pomocą przy skomplikowanych zagadnieniach. Oprócz tego mają za zadanie stwarzać atmosferę bezpieczeństwa i spokoju. Uczeń sam wybiera osobę prowadzącą (może to być nauczyciel, bądź starszy, doświadczony kolega), z którym będzie mógł nawet wyskoczyć na kawę i ciacho. „Szkolna ławka” nie istnieje.

Finlandia – edukacja bez egzaminów i stresu

Edukacja w Finlandii, a więc państwie, w którym uczniowie mają najwyższe wyniki z testów przed studiami w Europie, mocno odbiega od polskiego publicznego systemu. Według badań Organizacji Współpracy Gospodarczej i Rozwoju właśnie w Finlandii wskaźnik edukacji jest najwyższy w stosunku do całego świata. Pytanie, z czego to wynika?

Po pierwsze – nauka w pierwszych klasach bardziej przypomina zabawę, a przez pierwsze cztery lata uczniowie nie dostają ocen. Podobnie jest z testami – jedyny egzamin obowiązkowy to ten ogólny na koniec obowiązkowego cyklu nauczania, który trwa od 7 do 16 roku życia. Następnie chętni uczęszczają do szkół średnich II stopnia, trwających 3 lata i kończących się egzaminem maturalnym. Czas nauki można jednak w miarę potrzeb wydłużyć do 4 lat lub skrócić do 2.

Co więcej, uczniowie szkół średnich mogą dobrać sobie dowolny kurs i rozpocząć indywidualny tok nauczania. Mniejsze sprawdziany nie są oceniane – dzięki nim nauczyciel wie, na jakim poziomie jest uczeń i może właściwie dobrać zadania dla niego, a uczeń może zobaczyć, nad czym trzeba popracować.

No właśnie – w Finlandii każdy idzie własnym tempem. Jeśli uczeń nie jest w stanie zrobić danego zadania, to dostaje nieco łatwiejsze. Nie ma podziału na „lepszych” i „gorszych”. Prace domowe są rzadkie i lekkie, a płatne korepetycje niepopularne, ponieważ uczeń musi otrzymać pomoc w czasie lekcji. Dzieci i młodzież czytają najwięcej ze wszystkich uczniów na świecie. Relacja uczeń–nauczyciel może być dla niektórych nieco kontrowersyjna – uczniowie zwracają się do nauczycieli po imieniu, a autorytet budowany jest przez wzajemny szacunek i wsparcie, a nie dystans. Dodatkowo nauczyciel w hierarchii zawodów o pierwsze miejsce konkuruje tylko z lekarzem i jest świetnie opłacany. Prawo do nauczania mają tylko najlepsi, a chętnych jest wielu. Cóż, trzeba przyznać, że zupełnie inaczej niż w Polsce. Jednak najbardziej zadziwia fakt, że fińscy uczniowie w ciągu roku poświęcają na naukę... najmniej czasu.

Używki – sojusznik czy wróg?

A teraz temat, o którym pewnie słyszeliście już tysiące mądrości i może macie dość. Cóż, dodam coś jeszcze: używki nie powodują tylko omamów, uzależnienia, pobudzenia czy zaburzeń równowagi. Niektórzy zażywają narkotyki przed egzaminami, ponieważ redukują one poziom stresu, zwiększają koncentrację i zdolność zapamiętywania. Jednak tylko na starcie. Na dłuższą metę sprawa nie jest już tak kolorowa. Oprócz skutków, takich jak halucynacje czy zaburzona akcja serca, narkotyki powodują pogorszenie się pamięci i kłopoty z koncentracją – dokładnie odwrotnie niż na początku. Myśli stają się ciężkie i powolne.





Jazz

po krakowsku

Wielu wybitnych muzyków pierwsze kroki w muzycznym świecie jazzu stawiało w ciasnych salkach krakowskich klubów.



Lipcowe popołudnie, przy Barbakanie gromadzi się tłum. Niektórzy trzymają w rękach instrumenty muzyczne, inni aparaty fotograficzne. Tylko niektórzy to przechodnie zainteresowani niecodziennym wydarzeniem, większość to osoby, które wiedzą, po co tu przyszły. Pogoda sprzyja turystom. Trochę popadał deszcz, lecz o właściwej godzinie na chodnikach jest już prawie sucho. O siedemnastej rozbrzmiewają pierwsze takty. Niedziela Nowoorleańska jest nieodłącznym elementem krakowskiego festiwalu jazzowego „Summer Jazz Festival”, organizowanego co roku od 24 lat. Głównym wydarzeniem jest parada krakowskich muzyków jazzowych. Trasa rozpoczyna się pod Barbakanem, następnie ulicą Floriańską artyści dochodzą do Rynku Głównego. Podczas przemarszu rozbrzmiewa rytmiczna, swingująca muzyka z lat 20. O godzinie 18 na scenie na płycie Rynku Głównego zaczyna się koncert. Grają między innymi saksofonista Jan „Ptaszyn” Wróblewski czy pianista i organista jazzowy Wojciech Karolak. Nie brakuje także krakowskiego zespołu wykonującego jazz tradycyjny „Jazz Band Ball Orchestra”.

Zaczynali w krakowskich klubach

Festiwal trwa przez cały lipiec. Koncerty odbywają się w kilku krakowskich klubach jazzowych. Co roku organizatorzy zapraszają wybitnych muzyków zza granicy. Tylko w tym roku grali m.in. saksofonista Bill Evans, który zasłynął współpracą z Milesem Davisem oraz gitarzysta Mike Stern – muzyk światowej klasy. Jednym z elementów festiwalu jest także „solo piano week”, gdzie w Klubie Piec Art przy ulicy Szewskiej odbywają się recitale solowe na fortepianie.

Każdego roku w ramach festiwalu odbywa się ok. 60 koncertów. Gra blisko 300 artystów z Polski i zza granicy, liczbę słuchaczy określa się na 40 tys. Jest to największy festiwal jazzowy w Polsce oraz jeden z największych w Europie.

Król trąbki

Wielu wybitnych muzyków pierwsze kroki w świecie jazzu stawiało w ciasnych salkach krakowskich klubów. Tutaj uczył się i dorastał Tomasz Stańko. Postać znana, jeden z pionierów Free Jazzu w Polsce i w Europie. W 1964 roku rozpoczął naukę na Krakowskiej Akademii Muzycznej w klasie trąbki. Jego zapal do muzyki jazzowej wzbudził koncert pianisty Dave'a Brubecka w krakowskim klubie Rotunda. Stańko był stałym bywalcem jednego z pierwszych klubów jazzowych w Krakowie „Helikon”, który działał w latach 1959-1969 i znajdował się przy ulicy św. Marka 15. W środku klubu ściany zdobione były freskami polskiego artysty, współtwórcy Piwnicy Pod Baranami Wiesława Dymnego. Właśnie w Krakowie Tomasz Stańko założył swój pierwszy zespół „Jazz Darings”, który zyskał popularność i został ogłoszony jednym z pierwszych zespołów w Europie wykonujących Free Jazz. W późniejszych latach Stańko współpracował z różnymi muzykami w Polsce i na całym świecie. Zyskał uznanie w Stanach Zjednoczonych, a jego albumy wydawane były przez cenioną wytwórnię ECM.

Saksofonowy mistrz

Jednym z członków kwintetu Tomasza Stańki był saksofonista Janusz Muniak. Urodzony 3 czerwca 1941 roku, nazywany jest „sercem polskiego jazzu”. Gatunkiem tym zainteresował się w wieku 17 lat. Początkowo grywał w kilku krakowskich barach, restauracjach. Później w latach 60. dołączył do zespołu





Tomasza Stańki. W tym samym czasie rozpoczął współpracę z wybitnym kompozytorem i pianistą – Krzysztofem Komedą. Dzisiaj brzmienie saksofonu Muniaka możemy znaleźć w ponad 57 albumach z jego udziałem. W 2015 roku artysta otrzymał prestiżową nagrodę muzyczną „Fryderyk” w kategorii muzyki jazzowej za całokształt działalności artystycznej.

W 1991 roku Janusz Muniak został współwłaścicielem klubu jazzowego przy ulicy Floriańskiej 3 – „U Muniaka”. W lokalu znajdują się dwie klimatyzowane sale oraz drewniany podest–scena.



Fot. Rumilk/Wikipedia (CC-BY-SA-3.0)

Codziennie koncert

Rynek Główny 28. Miejsce wyjątkowe, bowiem pod tym adresem znajduje się jeden z najlepszych europejskich klubów jazzowych – Harris Piano Jazz Bar. Na charakterystycznym logo lokalu widnieje postać Jimmy'ego Smitha – słynnego muzyka jazzowego, specjalizującego się w grze na organach Hammonda. Klub został założony w styczniu 1997 roku. W Harrisie muzykę na żywo usłyszymy zawsze, albowiem koncerty odbywają się tutaj codziennie. Jest to jedyne takie miejsce w Polsce i jedno z dwóch w Europie. Usłyszymy tutaj wiele gatunków muzycznych, od jazzu tradycyjnego, włącznie z funkiem, na bluesie i Rock&Rollu kończąc. W klubie również odbywają się cykliczne jam sessions. Wydarzenia te podobne są do koncertów, jednak jest kilka zasadniczych różnic. Wstęp jest darmowy, a goście mają możliwość przyłączyć się do muzyków na scenie. Poza organizowaniem koncertów klub bierze udział w różnych wydarzeniach kulturalnych, takich jak wystawy fotografii, warsztaty jazzowe czy promocje płyt i książek.

Muzyczny świat wokół pieca

Nieco bliżej teatru Bagatela, przy ulicy Szewskiej, możemy natknąć się na kolejny ciekawy klub jazzowy. Pod numerem 12 możemy ujrzyć szyld: „Piec Art Acoustic Jazz Club”. Nazwa „Piec” nie powstała przypadkowo. W środku, w piwnicy, znajduje się zabytkowy, wielobarwny piec kaflowy wkomponowany w bar. Schodząc krętymi schodkami w dół naszym oczom ukazują się dwie obszerne sale, jedna z wyznaczonym miejscem dla muzyków i krzesłkami dla widzów, natomiast w drugiej znajduje się bar oraz kilka stolików. Klub może pomieścić nawet 100 osób. Piwnica połączona jest z cocktail barem na parterze, gdzie znajduje się najdłuższa lada barowa w Krakowie. Można tu posłuchać muzyki wykonywanej przez muzyków z Polski i całego świata.

Jazz w Piwnicy

Piwnica pod Baranami usytuowana jest w podziemiach Pałacu pod Baranami, okazałej kamienicy mieszczącej się przy Rynku Głównym. Początkowo lokal miał służyć studentom Akademii Sztuk Pięknych. Bardzo szybko stał się jednak miejscem, gdzie tworzone piosenki i przedstawienia, w którym spotykała się elita intelektualna i artystyczna.

Kabaret pod Baranami w 1956 roku założył uznany polski reżyser i scenarzysta Piotr Skrzynecki wraz z kompozytorem Krzysztofem Pendereckim oraz rzeźbiarzem Bronisławem Chromym. Tej trójce udało się skupić wokół siebie największych artystów PRL-u. W późniejszych latach do grupy artystycznej należeli m.in. Marek Grechuta, Grzegorz Turnau, Andrzej Wajda czy Zbigniew Wodecki.

Jazz do Piwnicy wdziera się w roku 1957. Zostaje sprowadzony przez Zofię Tittenbrun – partnerkę, a później żonę kompozytora Krzysztofa Komedy. Członkowie krakowskiego jazz klubu własnoręcznie remontują wnętrze lokalu. Część ścian zostaje obklejona gazetami, naprzeciw wejścia staje bar, nad nim ktoś wiesza duży plakat z Charliem Parkerem. Fortepian jest na prawo od wejścia, obok perkusja i miejsce na kontrabas. Meble zostały pomalowane przez artystę Wiesława Dymnego, który również był związany z kabaretem. Pierwszy koncert, jaki miał miejsce na nowej scenie, zagrał zespół Krzysztofa Komedy. Dzięki wprowadzeniu jazzmanów w piwniczne środowisko, lokal zyskał popularność.

Dzisiaj można odwiedzić lokal, w sobotę obejrzeć występ kabaretu, a w czwartki posłuchać jazzu.

Natomiast niedaleko, przy wejściu do restauracji Vis à Vis, można podziwiać metalowy pomnik założyciela piwnicy – Piotra Skrzyneckiego.

Szymon Wojnarowicz

Przegrana

„Gra o tron” jest serialem, którego raczej nie trzeba przedstawiać.

Wyświetlana przez 9 lat (2011-2019) superprodukcja HBO przez wielu była uważana za najlepszy serial w historii. Peany na jej cześć podnosili zarówno krytycy jak i widzowie, zaś jury Emmy i Złotych Globów hojnie nagradzało każdy kolejny sezon. Z czasem jednak pojawiły się również głosy krytyczne. Narastały one z każdym kolejnym rokiem, a ich apogeum przypadło na finałowe odcinki, które zebrały żałośnie niskie oceny. Doszło nawet do tego, że rozwścieczeni fani stworzyli petycję o remake ósmego sezonu, która z łatwością zebrała kilkaset tysięcy podpisów.

Pojawia się więc pytanie – co poszło nie tak? Paradoksalnie, aby zrozumieć upadek serialu, trzeba zacząć od tego, co stanowiło o jego sile. Zaś siłą początkowych sezonów „Gry o tron” był ich scenariusz. Oparta na „Pieśni lodu i ognia” George’a R.R. Martina, wielowątkowa historia obfitowała w niejednoznacznych bohaterów, intrygi i zdrady. Dialogi były ostre, nieraz wulgarne, zaś sceny akcji bezkompromisowo brutalne. Prawdziwą rewolucją okazało się także podejście do śmierci bohaterów: protagoniści i antagoniści w „Grze o tron” padali jak muchy, niezależnie od miejsca, jakie zajmowali w fabule. Postać, zdająca się z początku głównym bohaterem serii, wyzionęła ducha już w ósmym odcinku pierwszego sezonu.

Ogniwem spajającym wszystkie wydarzenia była jednak logika. To ona decydowała o wyjątkowości serialu. Scenariusz był bowiem logiczny do bólu: postacie zachowywały się zgodnie ze swoimi motywacjami, a za wszelkie błędy płaciły odpowiednią cenę. Dbano również o najdrobniejsze realia świata przedstawionego: podawano konkretne liczby żołnierzy biorących udział w konfliktach, brano pod uwagę feudalną kulturę i zwyczaje, bogactwo poszczególnych rodów a także wielkość Westeros i Essos, czyli kontynentów, na których rozgrywa się akcja. Jeśli uważny widz dobrze znał charaktery przedstawionych postaci, a także orientował się w sytuacji militarnej i politycznej, mógł przy odpowiedniej dozie wysiłku intelektualnego przewidzieć, co stanie się w kolejnych odcinkach. Oglądanie serialu stanowiło doświadczenie podobne do obserwacji niezwykle skomplikowanej partii szachów, rozgrywanej przez doskonałych szachistów. Zwroty akcji były zaskakujące, ale logiczne w kontekście całości.

Wszystko szło dobrze, póki scenarzyści rzeczywiście tworzyli adaptację „Pieśni lodu i ognia”. Tak długo, jak serial czerpał z twórczości Martina, niemal nie można było mu nic zarzucić. Potem jednak, a dokładniej rzecz biorąc w piątym sezonie, zaczęły się poważne odstępstwa od książek. Wynikały one z chęci uproszczenia serialu: gdyby wiernie trzymano się materiału źródłowego, trzeba by wprowadzić masę nowych wątków, a także zdecydowanie przedłużyć serię. George R.R. Martin chciał, aby nakręcono dziesięć sezonów, co znowu nie

podobało się twórcom show, którzy dążyli do skrócenia fabuły. Nie zgadzam się także z głosami twierdzącymi, że jest to wina autora cyklu, który nie zostawił scenarzystom dość materiału. Wszak seria nie jest jeszcze ukończona. Wątki z dwóch finałowych tomów, czyli „Uczty dla wron” i „Tańca ze smokami” niemal nie zostały wykorzystane, zaś spokojnie starczyłoby ich na co najmniej dwadzieścia odcinków

Drogi „Pieśni...” i „Gry...” rozeszły się więc w piątym sezonie. Uproszczono masę wątków i intryg, dialogi stały się bardziej drętwe, zaś wulgaryzmy w nich używane przestały służyć czemukolwiek poza kontrowersją. Jednak najgorszą popełnioną zbrodnią scenopisarską była gwałtowna zmiana charakteru Stannisa Baratheona: mimo swoich niewątpliwie zbyt wysokich ambicji i oddania wierze, nic nie zapowiadało, że będzie gotów złożyć ofiarę ze swojej córki. W dziewiątym odcinku piątego sezonu mogliśmy więc oglądać zwrot akcji tyleż szokujący, co nielogiczny, będący niejako zapowiedzią przyszłych problemów serialu. Sprawę pogarszała jeszcze dziwaczna wyprawa do Dorne, która okazała się wątkiem nie dość, że rozwleczonym, to wiodącym donikąd.

Sezon szósty był niewątpliwie najbardziej intensywnym ze wszystkich. To właśnie on zafundował widzom liczne zwroty akcji, wyjawiał pochodzenie i prawdziwe motywacje wielu postaci, a także mógł pochwalić się niezwykle wysoką liczbą zgonów znanych i lubianych bohaterów. Dzięki wszystkim tym zabiegom, łatwo było wybaczyć mu pewne błędy logiczne i uproszczenia, których było jeszcze więcej niż w sezonie wcześniejszym.

Miał on wszakże jeszcze jedną, niemal niezauważalną, ale ważną w kontekście przyszłości serii wadę. W jego trakcie zginęli znani i lubiani bohaterowie, a na arenie „Gry o tron” pozostały postacie płytkie i niespecjalnie ciekawe. Wielcy intryganci wytracili się nawzajem, przez co dalsze zdrady i knucie nie wchodziły w grę. Kłamstwa i słowa straciły na znaczeniu i jasnym stało się, że o tym, kto ostatecznie zasiądzie na Żelaznym Tronie zadecyduje brutalna, militarna siła, a nie błyskotliwość umysłu.

Tak też serial dotarł do sezonu siódmego. Pozbawiony ikonicznych intrygantów musiał zmierzyć się z wojenną rzeczywistością dwójki królowych.





„Gra o tron”

Nie brakuje opinii, że ostatnie sezony nie były udane.

Tutaj w pełni ukazała się słabość scenariusza. David Benioff i D.B. Weiss nie są niestety Georgem R.R. Martinem: zaprezentowana przez nich wizja wojny była wręcz kuriozalna. Postacie co rusz teleportowały się z jednego krańca kontynentu na drugi, armie znikwały raz po raz, aby pojawić się w absolutnie nieprawdopodobnych sytuacjach, zaś żołnierze zdawali się mnożyć i dzielić zgodnie z potrzebami scenarzystów. Zadania odpowiednie dla pachotków wykonywali królowie, a głupota pewnych przedsięwziętych planów przekraczała granicę śmieszności. Przykładem może być tutaj flota Daenerys, która doszczętnie zniszczona w drugim odcinku przez Eurona, okazuje się być odbudowana odcinek później. Nic nie przebijie jednak dziwacznej wyprawy „po trupa” z szóstego odcinka. Epizod iście komiczny, bo już sama wiara w to, że Cersei, widząc ożywieńca, zgodzi się na zjednoczenie sił, była dziwaczna. Sytuacja była jeszcze bardziej absurdałna z tej racji, że w misji wziął udział osobiście Król Północy. Najślabszym ogniwem scenariusza było jednak wezwanie pomocy przez obłożonych na wyspie. Scenarzyści pogwałcili wszelkie miary i odległości, bowiem wysłany kruk przebył odległość od Muru do Smoczej skały – około 3380 km – w dobę. Oznacza to, że jego średnia prędkość wynosiła 133 km/h. Albo więc Westeros skurczyło się gwałtownie, albo mieliśmy do czynienia z iście niezwykłą ptaszną.

Cierpiał również motywacje postaci. Jaime zdał sobie sprawę z okrucieństwa swojej siostry nie po tym, jak zabiła swoją synową i całą jej rodzinę oraz pośrednio doprowadziła do samobójstwa syna, ale w momencie, gdy złożyła fałszywą przysięgę. Daenerys zaczęła zaś ufać Jonowi o wiele bardziej w chwili, gdy ten pokazał jej malunki naskalne, mające dowodzić zagrożenia ze strony Innych, których interpretacja była kwestią absolutnie dowolną. Serial ostatecznie stracił swoją autentyczność i stał się widowiskiem tyle pustym, co ładnym, nie oferującym nic ponad audiowizualne doznania. Nie dało się już w żadnej mierze wykonypować kolejnych posunięć postaci i przyszłych zawiłości fabuły. Bohaterowie zachowywali się bowiem nielogicznie, zaś wszelkie zwroty akcji istniały wyłącznie po to, aby szokować, i pozbawione były jakiegokolwiek szerszego kontekstu.

Szczerze mówiąc, nie uważam jednak, żeby finałowy, ósmy sezon zasłużył sobie na aż

tak krytyczne opinie. Moim zdaniem stał on co najmniej o klasę wyżej niż wspomniany wcześniej sezon siódmy i szczerze nie rozumiem, jak można oburzać się na scenarzystów dopiero po ósmym sezonie, skoro już poprzedni był fatalny. Przedstawiona bowiem historia nie mogła znaleźć satysfakcjonującego rozwiązania: zbyt wiele błędów popełniono wcześniej, aby móc wyprowadzić ją na prostą. Przypominało to sytuację, gdy weszło się w bagno zbyt głęboko, aby móc się wycofać i jedynym racjonalnym wyjściem jest dalsze parcie naprzód.

Jeśli miałbym analizować główne wady ósmego sezonu, to rzekłbym, że brakło po prostu czasu i scenopisarskich umiejętności. Historii tak wielowątkowej, wypełnionej mrowiem bohaterów, nie dało się zakończyć w sześć godzinnych odcinków. Mimo wszystko zafundowano nam kilka klimatycznych scen, a także dość ciekawie rozwiązano niektóre wątki. Końcowe sceny potrafiły chwycić za serce, a kilka dialogów było nawet dość celnych. Nie da się jednak ukryć, że akcja pędziła na łeb na szyję, postacie ponownie zachowywały się kretyńsko, znów dochodziło do magicznego rozmnożenia wojska i zapasów. Skróty scenariuszowe i uproszczenia stały się chlebem powszednim, zaś głupota rozwiązań militarnych aż biła po oczach. Każdy szanujący się strateg przeżył zawał, gdy zobaczył wojsko wystawione poza murami twierdzy i jej nieobsadzone mury. Tym śmieszniejszy był okrzyk, gdzieś w połowie bitwy, gdy sprawy zaczynały iść źle: „obstawcie mury!”. „Idealnie w czas” – chciałoby się rzec. Do historii absurdu przejdzie też zasadzka z odcinka czwartego, w której flota Eurona ponownie masakruje cudownie odtworzoną flotę Daenerys. Scenarzyści zapytani o to, jakim cudem powiódł się plan Wroniego Oka, z rozbijającą szczerością odpowiedzieli, że Smocza Królowa zapomniała o siłach nieprzyjaciela. Wszak o takich szczegółach łatwo jest zapomnieć...

Jeśli miałbym wskazać na przyczynę upadku całego serialu, to będzie nią odrzucenie i niezrozumienie przez scenarzystów materiału źródłowego. Nie rozumieli oni najwyraźniej, że siła „Pieśni...” polegała na jej autentyczności. Na tym, że czytelnik wierzy w świat przedstawiony. Rozumie motywacje bohaterów, obawia się o ich życie i szanuje geniusz misternej pajęczyny intryg i planów, jakie plotą. Odchodząc więc od książek i tworząc własny scenariusz, „Gra o tron” poszła odmienną drogą: zafundowała wspaniałe doznania audiowizualne, ale kazała wierzyć widzowi w głupstwa obrażające jego inteligencję. Zaś moment, w którym człowiek zdaje sobie sprawę, że wierzył w kłamstwa, jest niezwykle bolesny – stąd też niskie oceny ostatniego sezonu. Szkoda jednak, że głosów niezadowolonych nie podniesiono wcześniej, wtedy gdy nie było jeszcze za późno, aby uratować tę serię. A tak, fanom pozostało jedynie kiepskie zwięźczenie wspaniałej historii.

Jakub Leśkiewicz



Znaj proporcjum mocium panie, *czyli*

O czym najczęściej myślimy idąc na wybory? Zapewne o tym, co zmieni się, jeśli zamiast tej partii wybiorę tamtą. I czy mój głos w ogóle cokolwiek zmieni? Co jednak, gdybyśmy zamiast – jak to mamy w zwyczaju – zastanawiać się NA KOGO głosować, pochylił się przez chwilę nad tym, JAK głosujemy. W wyborach do Sejmu stawiamy wyłącznie jeden krzyżyk przy nazwisku odpowiadającego nam kandydata na jednej liście partyjnej. I już, gotowe – obywatelski obowiązek spełniony. Ale można to też ująć w inny sposób. Tak naprawdę właśnie zagłosowaliśmy według proporcjonalnej ordynacji wyborczej, a nasze głosy będą przeliczane metodą d'Hondta. Ten sam prosty krzyżyk na karcie do głosowania mógłby być rozpatrywany zupełnie inaczej, gdybyśmy zastosowali inny system wyborczy. Na przykład większościowy, taki jak w wyborach do Senatu.

Co ordynacja wyborcza zmienia w praktyce i dlaczego niektórzy tak dużo mówią tu o JOWach? Zapraszam na mały poradnik konsumenta. Tyle, że zamiast na zakupy po najświeższą marchew, my wyruszymy dziś w poszukiwania tego lepszego systemu wyborczego. A przynajmniej spróbujemy taki znaleźć.

W ordynacji proporcjonalnej mamy do czynienia z głosowaniem opartym na wielomandatowych okręgach wyborczych. W każdym okręgu jest do uzyskania kilka mandatów. Z kolei w systemie większościowym okręgi z reguły są jednomandatowe (JOW-y to właśnie jednomandatowe okręgi wyborcze). Zatem w każdym okręgu jest tylko jeden szczęśliwiec, który całą pulę – a więc jeden jedyny mandat – zgarnia dla siebie.

Jak działa proporcjonalna ordynacja? Z danego okręgu (w zależności od wielkości jego populacji) wybiera się od 7 do 20 posłów. Ważne jest to, że oddając głos według ordynacji proporcjonalnej, tak naprawdę w pierwszej kolejności nie tyle wspieramy kandydata, przy którym postawiliśmy krzyżyk, ale partię, z której listy startował. Nasz głos oczywiście wędruje na personalne konto naszego faworyta, co ostatecznie może pomóc mu uzyskać mandat, jednak dopiero pod warunkiem, że sukces odniesie cały jego komitet. Ugrupowanie naszego kandydata najpierw musi przekroczyć próg wyborczy (5% dla partii i 8% dla koalicji), dopiero później cała pula zdobytych przez nie głosów jest przeliczana na mandaty, a te następnie są rozdzielane wśród poszczególnych kandydatów z najwyższym poparciem na okręgowych listach. A to często oznacza sytuację, w których powodzenie danego kandydata jest bardzo mocno uzależnione od wyniku partii, którą reprezentuje. Ktoś, kto indywidualnie uzyskał bardzo dużo głosów, ale jego partia nie przekroczyła progu wyborczego, może zapomnieć o wejściu do Sejmu. Może się również zdarzyć taka hipotetyczna sytuacja: w okręgu X partia uzyskuje znacznie gorszy wynik niż w okręgu Y. Kandydat, pan Paweł z okręgu X nie dostaje mandatu, mimo że personalnie zdobył on więcej głosów niż jego partyjny kolega Sławek z okręgu Y. Pan Sławek swoje miejsce w Sejmie zawdzięcza jednak tzw. lokomotywie wyborczej, czyli popularnemu i znanemu politykowi, gromadzącemu

wyborczy poradnik konsumenta

bardzo dużą liczbę głosów i zwiększającemu pulę mandatów dla partii w okręgu. Taka lokomotywa wyborcza łatwo może stać się koniem pociągowym zdolnym „wciągnąć” do parlamentu innych kandydatów z relatywnie niskim poparciem. Wystarczy tylko znaleźć się na liście w okręgu, gdzie przoduje lubiane i modne nazwisko, a szanse na wejście w poselskie ławy znacznie rosną.

Do tego dochodzi jeszcze tzw. „jedynka”. „Jedynka” to nic innego jak po prostu pierwsza pozycja na liście partyjnej. W teorii nie gwarantuje ona niczego, jednak w praktyce jest niczym pole position z Formuły 1 i daje kandydatowi ogromną przewagę nad innymi kolegami z partii. Wszystko dlatego, że wyborcy, nie znając nazwisk polityków, bardzo często instynktownie zakreślają po prostu pierwszą osobę na liście, w przekonaniu, że to ten najlepszy wybór, bo ów kandydat zapewne jest tym najbardziej sugerowanym i wspieranym przez ugrupowanie. Miejsce na liście ma więc, koniec końców, ogromne znaczenie, bo jeśli już nasz komitet wejdzie do Sejmu, to osoba z „jedynką” będzie mieć dzięki niej swojego rodzaju „priorytet do mandatu”, mając prawdopodobnie najwięcej głosów ze swojej okręgowej listy partyjnej. Jakie z tego wnioski? Ano takie, że do cech produktu zwanego proporcjonalną ordynacją wyborczą na pewno możemy zaliczyć silną zależność kandydata od partii. Między innymi dlatego tak często wypominane są mu upartyjnienie i tzw. partiokracja. Tu sukces w wyborach prędzej osiągną ci, którzy potrafią współpracować i ułożyć sobie życie z politycznymi kierownictwem. Samotne wilki i kandydaci niezależni nie mają raczej czego szukać.

No dobrze, a o co chodzi z groźnie brzmiącą, zagadkową metodą d'Hondta? Wbrew pozorom nie jest to żadna przekreślona nazwa japońskiego samochodu, a po prostu jeden z kilku istniejących matematycznych sposobów przeliczania głosów na mandaty. Używa się go między innymi w Hiszpanii, Holandii, Grecji, Czechach czy Austrii, a także właśnie w polskich wyborach do Sejmu. Jej nazwa pochodzi od nazwiska belgijskiego matematyka Victora d'Hondta. I faktycznie, trochę matematyki i rachunków tu będzie, bo mamy do czynienia ze wzorem, polegającym na znalezieniu największych, kolejno po sobie



następujących ilorazów liczby uzyskanych głosów. Robi się to, dzieląc uprzednio liczbę głosów przypadających każdemu komitetowi przez kolejne liczby naturalne, a następnie z tak obliczonych ilorazów dla wszystkich komitetów wybieranych jest tyle najwyższych, ile jest mandatów do obsadzenia. Czyli w praktyce, jeśli w jakimś okręgu mamy 10 mandatów do rozdysponowania między 3 komitety wyborcze (założmy, że tylko tyle przekroczyło próg), to dzielimy ich głosy kolejno przez 1, 2, 3, 4 itd. Mandaty dostają ci, którzy uzyskali 10 największych wyników dzielenia. Formuła d'Hondta na tle innych metod przeliczania głosów na mandaty wyróżnia się tym, że faworyzuje najsilniejsze ugrupowania kosztem słabszych. Ci, którzy zdobyli najwięcej głosów w wyborach, dzięki metodzie d'Hondta będą mieć w parlamencie jeszcze więcej miejsc niż proporcjonalnie na to „zasłużyli”. A więc następuje tu swoista nadreprezentacja najsilniejszych partii. Inaczej mogłoby być, gdybyśmy dzielili mandaty według innej formuły – na przykład Sainte-Laguë, która niczym Robin Hood „okrada” trochę większe partie, dając z kolei większe szanse mniejszym ugrupowaniom. Jednak tej metody już w Polsce nie stosujemy.

Alternatywna ordynacja większościowa i JOW-y zdecydowanie stawiają na prostotę i przejrzystość. Stosowany w polskich wyborach do Senatu system większościowy polega zwyczajnie na twardej, odwiecznej zasadzie – „zwycięzca bierze wszystko”. W naszych wyborach do Senatu 100 miejsc w parlamencie odpowiada więc po prostu 100 jednomandatowym okręgom wyborczym. Jeden okręg to jeden mandat, a do walki o niego każda partia ma prawo wystawić tylko po jednym swoim kandydacie. Polityk, który zdobędzie najwięcej głosów w swoim okręgu (a więc uzyska tak zwaną większość względną), wygrywa i mandat jest jego. W takiej sytuacji, w przeciwieństwie do systemu proporcjonalnego, rzeczywiście głosujemy już na konkretnego człowieka i mamy bardziej bezpośredni wpływ na to, kto będzie nas reprezentował w parlamencie. Mimo, że kandydaci w większości są również delegowani przez partie, to jednak w wyborach wszyscy występują jako pojedyncze osoby. Według zwolenników tego systemu umożliwia on ocenianie indywidualnych kandydatów i wybór pomiędzy ludźmi, a nie komitetami, zmniejszając tym samym zależność kandydata od partii i dając większe szanse działaczom niezależnym. Polityk z założenia jest tu bliżej elektoratu (choć zależy to też od wielkości okręgu) i sam jest kowalem własnego losu. Nie ma potrzeby oglądać się ani na progi wyborcze, ani na „jedyńki” na listach, nikogo nie pociągnie też w górę żadna lokomotywa wyborcza. No i super, ale na pewno jest też jakiś haczyk.

Rzeczywiście, JOW-y niosą ze sobą ogromną liczbę tzw. głosów straconych. Z racji tego, że zwycięzca zgarnia wszystko, ci, którzy oddali swój głos na kandydata, który nie wygrał, zostają bez żadnej politycznej reprezentacji, a ich głosy w cudzysłowie „przepadają”. Jeśli tryumfujący z danym okręgu kandydat uzyskał 40% poparcia, to tylko 40% osób zyska swojego przedstawiciela w parlamencie. Pozostali zostają z niczym. System większościowy jest więc mało reprezentatywny i słabo odzwierciedla faktyczny układ głosów. Prowadzi to często do niższej frekwencji wyborczej

z uwagi na przekonanie, że głos niewiele znaczy. Ponadto w praktyce, aby głos „nie poszedł na marne”, wyborcy bardzo rzadko wspierają niszowych kandydatów ze słabymi szansami na wygraną, zamiast tego decydują się na poparcie bezpiecznej „mainstreamowej” opcji. Pokutuje myślenie: po co głosować na fajnego, ale mało znanego pana Mietka, skoro i tak nie wygra? Model, w którym zwycięzca może być tylko jeden premiuje więc większe i silniejsze ugrupowania, niemal nie zostawiając mniejszym partiom szans na wejście do parlamentu. A stąd już prosta droga do wytworzenia się w polityce systemu dwupartyjnego lub dwublokowego, gdzie liczą się tylko dwie wiodące siły polityczne.

Takiej sytuacji nie będzie z kolei sprzyjać ordynacja proporcjonalna, która wiernie przekłada poparcie społeczne na liczbę mandatów w parlamencie. Rzecz jasna, tam też mamy do czynienia z głosami straconymi (na co wpływ ma wysokość progu wyborczego i wybrana metoda dzielenia mandatów). Jednak ich skala jest nieporównywalnie mniejsza. System proporcjonalny daje po prostu większe szanse w wyborach małym i średnim partiom. Inna sprawa, że może to doprowadzić do znacznego rozdrobnienia politycznego w parlamencie, co w konsekwencji utrudnia wyłonienie rządu, wymusza tworzenie koalicji i może powodować destabilizację polityczną i konflikty. Weźmy na przykład taki przypadek: pierwsze w Polsce całkowicie wolne wybory do Sejmu w 1991 roku były przeprowadzone według ordynacji proporcjonalnej, dodatkowo bez wprowadzenia jakiegokolwiek progu wyborczego. W efekcie praktycznie idealnie oddały one wolę głosujących. Zaowocowało to jednak 29 partiami w Sejmie, trudnością z powołaniem rządu i ogromnym chaosem w poselskich ławach. Na tym tle system większościowy i JOW-y ze swoimi dwiema mocno oddzielonymi opcjami politycznymi jawią się jako rozwiązanie zapewniające większą stabilność władzy. Chociaż paradoksalnie i tu często będziemy mieć do czynienia z różnego rodzaju wymuszonymi koalicjami tworzonymi na potrzebę chwili. Tyle, że zamiast PO będą się one formować jeszcze PRZED wyborami. Czyli znowu – tak źle, i tak niedobrze.

Podobno życie to sztuka wyboru. I ciężko, by było inaczej, skoro nawet wytypowanie najlepszego sposobu przeprowadzania głosowania wcale nie jest łatwiejsze niż wybór posła czy senatora. Jak na wyborczy poradnik konsumenta przystało, mam jednak pewną radę. Bo z tymi ordynacjami jest trochę tak, jak ze starą rynkową zasadą: „Oferujemy trzy rodzaje usług: dobrze, szybko i tanio. Dobrze i tanio – nie będzie szybko. Dobrze i szybko – nie będzie tanio. Szybko i tanio – nie będzie dobrze.” Z systemami wyborczymi jest tak samo. Wszystkiego nigdy mieć nie będziemy. A na coś zdecydować się trzeba, byleby nie był to wybór mniejszego zła.

Póki co pewne jest wyłącznie jedno – jeżeli kiedyś spotkacie kogoś, kto cieszy się z jedynki – to musi być polityk.

Łukasz Trzaska

Stowarzyszenie Demokracja w Praktyce

Wszystkie artykuły dostępne są na stronie internetowej:
www.demokracjawnpraktyce.pl

PISANIE to Twoja pasja?

**DOŁĄCZ
DO NASZEGO
ZESPOŁU
REDAKCYJNEGO!**

**ZADZWOŃ
LUB NAPISZ
DO NAS
I DOWIEDZ SIĘ
WIĘCEJ:**



12 616-78-19



mlodziez@um.krakow.pl